

Nie tylko Polaków dotknęły przesiedleńcze tragedie, cierpieli też Niemcy wypędzeni z Pomorza, Śląska i Mazur
 Ukazała się pierwsza w Polsce publikacja, która próbuje przełamać tabu, ciężące nad tematem od 50 lat

Trudno powiedzieć, co bardziej rani

POMYSŁ opublikowania we wspólnej książce wspomnień polskich i niemieckich przesiedleńców wojennych wyszedł od Renate Stossinger, Niemki, w życie której już od dzieciństwa wplatały się polskie sprawy. Po-każne, ładnie wydane dzieło nosi tytuł „Wypędzeni ze Wschodu. Wspomnienia Polaków i Niemców”. Jest efektem konkursu zorganizowanego po obu stronach Odry i Nysy. Po stronie niemieckiej sprawą zajęło się Stowarzyszenie Przyjaciół Polski działające w Badeni, u nas patronem przedsięwzięcia została redakcja kwartalnika Karta. Napłynęły setki tekstów. Jury konkursu, pracujące pod przewodnictwem zawodowego historyka miało wielki problem z wyborem prac do druku, bo jak porównać to, co bardziej boli? - Nie ma sensu szukać w tej książce prawdy obiektywnej - powiedział niemiecki konsultant naukowy, obecny na promocji „Wypędzonych” odbywającej się w Ośrodku Brama Grodzka - Teatr NN. - Wspomnienia z natury rzeczy są subiektywne i jednostronne.

GOŚCIEM honorowym spotkania w Teatrze NN była pani Renate Stossinger, od której wiemy, że w jej ojczyźnie od lat otwarcie mówi się i pisze o wysiedlaniu Niemców z Prus Wschodnich, Pomorza, Mazur, Śląska i ziemi lubuskiej. Natomiast w Polsce ten problem, dotyczący prawie 3 mln obywateli ówczesnej III Rzeszy, wciąż jest tematem tabu. - Dlatego pomyślałam, że kiedy ludzie ze sobą porozmawiają, kiedy opowiedzą szczerze o swoich odczuciach: obawach, lękach, niepewności, lżej będzie im samym i lepiej ułożą społeczne emocje - wyjaśniała ideę konkursu Renate Stossinger, która głęboko wierzy w wartość porozumiewania się narodów na poziomie różnego rodzaju organizacji społecznych i kulturalnych. Misjonarka dobrej sprawy nie powiedziała tego wprost, ale podobne słowa wisiały w powietrzu: jej ziomkowie zostawili w granicach nowej Polski nie tylko dobytek materialny, ale też kawałek duszy, przywiązanej do miejsca, gdzie się człowiek urodził. W wymiarze osobistym Niemcy doświadczyli tej samej tragedii, która była udziałem wypędzonych ze Wschodu, więc teraz, kiedy historia Polski i Niemiec uczłowiczyła się, oni chcą być po ludzku zrozumiani, także przez tych, którzy po wojnie potraktowali niemieckie domy jak zdobyczne, niezyski dobro.

Z PODRĘCZNIKA historii, wydane w 1991 r. dowiadujemy się, że w latach 1945-46 przybyło do Polski w ramach repatriacji ze Związku Radzieckiego 1 mln 528 tys. Polaków. Z emigracji wróciły do kraju 2 mln 300 tys. osób. W większości ci ludzie osiedlali się na ziemiach północnych i zachodnich. Planowe przesiedlenia ludności niemieckiej objęły w latach 1946-49 nie mniej niż 2 mln 300 tys. osób, a ponad 700 tys. opuściło nasz kraj dobrowolnie. Zmiana własności niekoniecznie odbywała się dopiero pod nieobecność dawnych właścicieli. Bywało, że niemiecki gospodarz stawał się na rok lub dwa parobkiem polskiego osadnika. Zawiniła tu okrutna historia II wojny, ale historia nie jest przecież bezosobowym procesem, jak tego chciał marksizm, ona składa się z konkretnych działań każdej ludzkiej jednostki. Parę grzechów, dawno już wybaczonych - jak można sądzić ze słów Renate Stossinger - i my mamy na sumieniu wobec niemieckich wygnanców. Teraz chodzi tylko o mówienie, o jawność, o zniesienie tabu uwierającego obie strony jak kamień w butcie. „Prawda to ostatni lyk tlenu” - epifanicznie wołał w „Kalendarzu i klepsydze” Tadeusz Konwicki.

W Polsce do czasu ukazania się „Wypędzonych ze Wschodu” nie było ani jednej publikacji dotyczącej wysiedlania Niemców do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej. Tak przynajmniej mówili pomysłodawcy i redaktorzy omawianej książki. Polscy autorzy nadesłali na konkurs ponad 100 prac, z czego połowa poświęcona była rozważaniom na temat stosunków polsko-ukraińskich. Polsko-niemieckie relacje nie znalazły szerokiego odbicia, co zdaje się potwierdzać uwagę pani Renate, że wciąż jest to temat jakoś dla nas niewygodny.



Renate Stossinger uważa, że dzięki książce został ocalony kolejny rozdział historii.

WYDRUKOWANE wspomnienia zostały raz jeszcze poddane konkursowej ocenie. Tym razem jurorzy kierowali się wartością literacką tekstów. Pierwsza nagroda w naszym regionie przypadła dr. Czesławowi Rajcy, druga - Alicji Michałowskiej, a dr Józef Zięba, pisarz i ceniony animator kultury otrzymał wyróżnienie. W spotkaniu w Ośrodku Brama Grodzka wzięła udział również wymieniona, mieszkająca w Lublinie, trójka autorów. Każdy z laureatów został poproszony o żywe słowo. Pani Alicja, ogromnie speszona, z całej mocy wzbraniała się przed występem, który na szczęście doszedł do skutku i był naprawdę ciekawą, chociaż króciutką powieścią o losach jej rodziny. Natomiast chętnie i z werwą opowiadał Czesław Rajca. Niezawodny w roli mówcy, jak zawsze, tak i teraz, okazał się dr Zięba. Nagrodzony wyróżnieniem fragment pochodzi z książki pt. „Znad Stochodu. Wspomnienia wołyńskie”. Od tygodnia Radio Lublin emituje w odcinkach wspomnienia dr. Zięby.

HISTORIE usłyszane w Teatrze NN znajdują się w książce, którą serdecznie polecam uwadze czytelników. Cytowanie autorów z taśmy magnetofonowej równałoby się z przepisywaniem fragmentów „Wypędzonych”, a tego czynić nie ma potrzeby ani sensu. Ze wspomnień trójki narratorów spróbuję, bez dokładnego podziału na role, wydobyć pewien obraz tego, co działo się między Polakami i Niemcami na ziemiach odzyskanych.

NAJPIERW powiedzmy, że żaden z trójki autorów nie żałuje, że w dzieciństwie opuścił rodzinną wieś lub miasteczko na Kresach Wschodnich. Mimo ogromnego sentymentu do miejsca urodzenia, wszyscy są zdania, że w ostatecznym rachunku dobrze się stało, że los oszczędził im życia pod sowiecką dykturą. W tej sprawie, w kwestii sentymentu

do pierwszej ojczystej ziemi, wspomnienia Polaków i Niemców różnią się zasadniczo, bo Niemcy bardzo tęsknią. - Moje wspomnienia są tak koszmarne, że nie chciałam nawet tam pojechać, wciąż się boję - wyznała urodzona na Litwie pani Alicja. Józef Zięba słyszał, że na jego rodzinnym Wołyniu kilka kobiet z jednej wsi popełniło samobójstwa, nie mogąc żyć w nieustannej grozie. Nie wytrzymały czekania na śmierć z rąk ukraińskich narodowców.

Czesław Rajca do ponemieckiej wsi zwanej św. Katarzyną, inaczej Kater, przyjechał ze wsi Burktoł koło Lwowa. Mieszkały tam rodziny: polskie, szwabskie (tak się mówiło), ukraińskie, rosyjskie i jedna żydowska. Nie da się ukryć, świat był tam zabity dechami. W św. Katarzynie młody Czesław przeżył cywilizacyjny szok - środkiem wioski biegła brukowana ulica, wzdłuż której ciągnęły się wykończone krawężnikami chodniki. Chłopy z Ukrainy taka wieś by się nawet nie przyśniła. Dalej Czesław patrzy i widzi: dwa kościoły protestanckie, jeden katolicki, szkołę, aptekę, kilka restauracji, kawiarnię.



komendę policji i budynek straży pożarnej. Polubił ten nowy - nowoczesny ponemiecki porządek i przyznał, że można mieć dwie, a nawet trzy ojczyzny. - Trzecią jest Lublin, w którym mieszkam już 30 lat. W tym momencie został szturchnięty przez siedzącą obok panią. - O Boże, to już 50 lat! Życie upływa jak szalone.

Z OPOWIEŚCI wynikało, że pierwszym przemysłem, jaki Polacy rozwinęli na ziemiach zachodnich było bimbrownictwo. Tu autor troszkę cof-

nął swą narrację, do etapu podróży „z Polski do Polski przez granicę”, jak napisano w „Albumie rodzinnym”, śpiewanym przez lubelskich bardów. Repatrianci znajdują się więc dopiero w pociągu, bez zapalu prowadzonym przez maszynistę, któremu ciągle czegoś „brakło”. Wtedy dostawał od podróżnych kwaterek bimbru i kolu w ruch.

Na miejscu bimber też miał nieoczekiwaną wartość. Akcją przesiedleńczą Niemców nadzorowali polscy żołnierze. Wypędzonym wolno było zabrać wszystko co zechcą, ale z powodu kłopotów z transportem zazwyczaj nie zabierali ze sobą mebli. Można się było uprzeć i zostać, ale gospodarz takie mu nieposłusznemu Niemcowi odbierało. Podobno nasi wojacy odbierał przepędzonym co cenniejsze rzeczy i sprzedawali za bimber rodakom osadnikom.

Wiecej ludzie napływający na Odrę chcieli żyć razem, po dawnemu. Bywało, że parę kilometrów dalej stały wyludnione już domy, a Polacy pakowali się do biednego bauera, aby tylko za płotem mieć znajomego sąsiada. Nieważne, że w jednoizbowej chałupie tłoczyły się dwie liczne rodziny.

Akcja wysiedleńcza trwała do 1949 r. Polacy nie przejawiali agresji wobec wypędzanych. Nie pomagano im, ale i nie zastraszano.

Nie wszyscy Polacy łatwo zapuszczali korzenie na ziemiach zachodnich. Setki tysięcy ludzi przeniosły się z powrotem pod wschodnią granicę, aby być bliżej kresowych klimatów.

SPĘDZAJĄC wakacje w Bieszczadach spotkałam Ukrainkę mającą poglądy urągające jakiegokolwiek poprawności politycznej. Ta kobieta uważała, że akcja o kryptonimie „Wisła” była w pewnym sensie zbawieniem dla Ukraińców. Ona sama urodziła się już w Koszalinie i mieszkała tam do 35. roku życia. Niezbyt chętnie jeździła do krewnych nad Soliną, ponieważ nie mogła znieść, że jej pobratymcy vegetują w Bieszczadach jak w skansenie z ubiegłej epoki, że się degenerują. - Dobrze, że nas wywieźli na Pomorze, przynajmniej tam żyjemy jak inni ludzie w cywilizowanym świecie - powiedziała z przekonaniem. - Ja przyjechałam tu za mężem, ale nasi rodzice mimo że to chorzy starszycy potrzebujący naszej opieki, za nic nie chcą wrócić. W jednej chwili spakowałabym się i uciekła stąd, gdyby nie Jurek...

Rzeczywiście, czasem trudno odgadnąć, co człowieka najbardziej boli.

Teresa Dras

Zdjęcia: Marta Kubiszyn oraz „Polska i świat współczesny” WSiP.



Punkt repatriacyjny na dworcu Łódź Kaliska, maj-czerwiec 1945 r.